

BIBLIOTEKA UTWORÓW DRAMATYCZNYCH



TOM

I

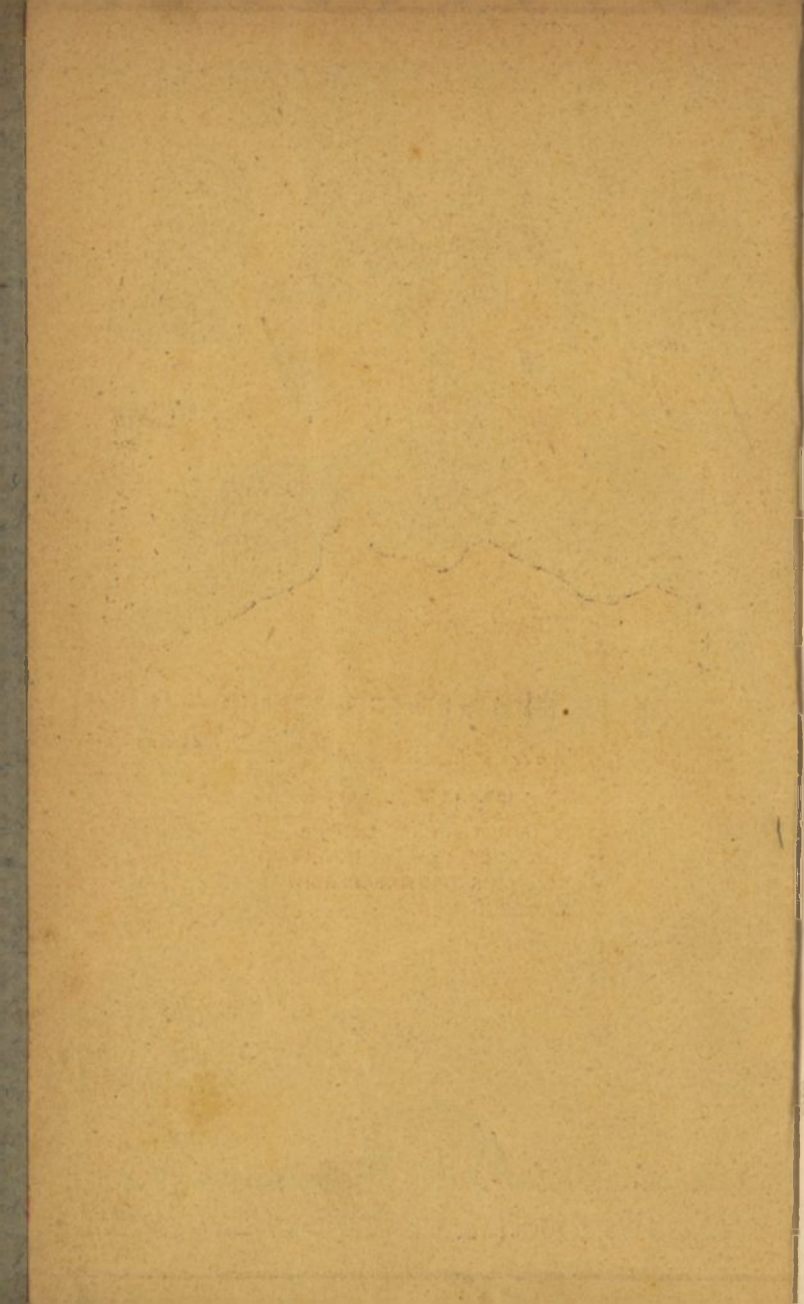
Björnstjerne Björnson

LABŌREMUS

DRAMAT W TRZECH AKTACH

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
NORWEOSKIEGO Dr. ALFRED
WYSOCKI

NAKŁADEM KSIĘGARNI HALTENBERGA WE LWOWIE



~~BIBLIOTEKA~~
~~URZEDN. TOW. WZAJ. P. T. KRAKOWIE~~
~~SEKCYJA IV~~

1884.10.17. 10.18.1884.10.15



BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON

LABOREMUS

DRAMAT W TRZECH AKTACH

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁ Z OBYGINAŁU NORWEGSKIEGO

DR ALFRED WYSOCKI



LWÓW

NAKLAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1902

VI

A-18693

Wobec scen, prawa manuskryptu zastrzega się.



1000173331

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Literat. 13f

K 1160/56/5785

Kraków 1902. — Druk W. L. Anezyca i Spółki.

AKT PIERWSZY.

Nie wielki, lecz wytwornie urządzony salon w pierwszorzędnym hotelu. — Troje drzwi. W głębi, z prawej i z lewej strony. Na lewo od widowni sofa, na której leży suknia ślubna. Na stole wianek ślubny, welon, rękawiczki i inne przybory. Obok kapelusz męski i laska. Nieco dalej w tyle, na krześle, zarzutka letnia. Kolo stołu kilka stolików. — Dzień jest pogodny i jasny.

SCENA I.

Starszy już mężczyzna, ubrany w długi szlafrok, wchodzi z prawej strony. Zobaczywszy suknię ślubną, podchodzi ku niej i rozgląda się, jak gdyby czegoś szukał. Przed drzwiami z lewej strony przystaje, a widząc, że są tylko przymknięte, uchyla je ostrożnie i zagląda do drugiego pokoju, poczem dzwoni. — Służący hotelowy puka.

WISBY.

Proszę. *Służący wchodzi.* Czy pani wyszła?

SŁUŻĄCY.

Wyszła, proszę pana.

WISBY.

Dawno?

SŁUŻĄCY.

Zdaje mi się, że przed godziną.

Wisby oddala go skinieniem ręki. — Służący wychodzi. — Wisby zaczyna przechadzać się po pokoju i znów przystaje przed suknią. Przez chwilę chodzi, poczem zagląda do pokoju na lewo i siada przy stole, popadając w zadumę. — Drzwi w głębi otwierają się i ukazuje się Lydia w zgrabnej sukni spacerowej, rozpromieniona i świeża. Drzwi zamykają się za nią... Zbliża się ku Wisbemu... zwolna... cicho... tak, że on nie widzi jej, ani jej kroków nie słyszy. Spostrzega ją dopiero w chwili, gdy ta klęka przed nim i ujmuje go za rękę. Wisby chce się podnieść z krzesła, lecz ona go powstrzymuje.

LYDIA.

Dzień dobry.

WISBY *wesolo*.

Dzień dobry. Odbyłaś już, jak widzę, twój ranny spacer?

LYDIA *cicho*.

...Najpiękniejszy w życiu.

WISBY *całuje ją*.

Jak świeżą woń wnosisz ze sobą!... Jakżeś piękną!... Spałaś dobrze?

LYDIA.

Od chwili... od chwili gdy odszedłeś odemnie... wstaje aż do dziewiątej! Czyż to nie dosyć? Zdejmuje kapelusz i rękawiczki i kładzie na stole. Potem ujmuje pieśczołtlinie suknię ślubną i podnosi ją w górę. Składa ją napowrót i podchodzi ku Wisbemu, który się jej przypatruje. Dziwisz się może, że sama wyjść chciałam?

WISBY.

Nie.

LYDIA.

Musiąłam!

Parło mnie coś, aby znaleźć się znowu nad temi małemi jeziorami tam daleko w parku — wśród tych pięknych will — szczególnie wśród tych will!...

WISBY.

Odnalazłaś się wśród nich?

LYDIA.

Nie. — Użyłam niewłaściwego słowa. Chciałam tylko odczuć, jak one mnie przyjmą, ujrawszy mnie w równej im świetności!

WISBY.

...W równej?

LYDIA.

Dawniej, gdy byłam tutaj po raz ostatni, zebrałam ich przychylności. Szłam trwożna wśród nich, z myślą o moim koncercie. Byłam cudownem tylko dzieckiem. Mieliśmy dać tutaj trzy koncerty. I gdyby się nie były powiodły, zostałyby mi wówczas — chyba łaska Boga. Wtedy zapoznałam się z tą moją trwogą, która mnie tak często nachodzi.

WISBY.

Doprawdy?

LYDIA.

O te wille... te bogate domy i te stare drzewa, jeszcze wspanialsze aniżeli domy!

I te małe jeziora!

Były one wówczas dla mnie czemś niewzruszonym i trwałem, a ja w obec nich — bezdomną i słabą... Spoglądałam na nie kornie i z lękiem.

Lecz dzisiaj... całe dwie godziny spędziłam z niemi, całe dwie godziny... w tryumfie!...

Pozwalałam im przeciągać przedemną w zwyciężkim pochodzie i poznawałam dawnych towarzyszy, czując, że i oni mnie poznają.

Och, jakżeż ci wdzięczną jestem, Wisby! *klęka przed nim.*

WISBY.

O ty wspaniała! *głaszcze jej włosy.*

LYDIA.

Do dziś dnia nie wiedziałam właściwie, czem ja jestem... I tak często pytałam się siebie samej o to.

WISBY.

...Ty także?

LYDIA.

Jakto? *podnosi się szybko* Więc i z innymi tak się dzieje?

WISBY *potakuje.*

LYDIA.

Sądziłam, że to tylko ja. Ale dzisiaj — dzisiaj już wiem, czem jestem. I dzisiaj wiedzą o tem i inni... Czytałam w tych jeziorach i willach i w tych drzewach starych... że i one także o tem wiedzą. Bo zdala już... spostrzegłszy mnie, prostowały się, wychodziły naprzeciw i witały mnie...

WISBY *uśmiecha się.*

A ludzie?

LYDIA.

O ludziach nie mówię!

Och! jakie ja męki znosiłam, siedząc na tej estradzie... i grając... i nie mogąc nigdy być samą.

— Być samą — posiadać coś tylko dla siebie i rozporządzać tem do woli, było zawsze szczytem moich marzeń...

Ludzie — powiadasz?

Gdybym mogła była wybrać kogoś — zaszyć się z nim w jakiś zakątek i szeptać...

Te oczy! «Kto ona?» — «Skąd?» — «Czego chce tutaj?»

Gdy tylko miałam wolną chwilę, uciekałam od nich między wille — daleko — ku tym drzewom i małym jeziorom. Zwierzałam im się, a one mierzyły mnie dumnie! Tak. Musiałam trzymać się od nich w należytem oddaleniu. Mimo to mogłam im przecież powiedzieć, że chciałam także być kiedyś taką, jak one.

Tak silną i pewną... jak wy!

A teraz dopięłam tego. *Pochyliła się nad nim.*

Mój przyjacielu! Ty nie biegalesz w koło i nie wypytywałeś się o mnie innych. Przyszedłeś prosto ze swojej wsi i rzekłeś: chcesz być moją żoną? — Tak być powinno. Nikt na szerokim świecie prócz mnie i ciebie nie przeczuwał, że się to stać może. Tak być powinno. Wówczas dopiero jest szczęście zupełne!...

WISBY.

Dziękuję!

LYDIA oddała się trochę od niego.

Czy może ktoś inny wiedzieć, co najściślej spaja dwoje ludzi? My sami — czyż wiemy o tem? Może ktoś przypomnieć sobie, jakim był przed dwoma laty? Czyż wiemy dokładnie o tem, dla czego takimi właśnie jesteśmy?

Jeżeli mi mówi ktoś: «toś myślała» — «toś uczy-

niła — wtedy zdaje mi się, że jest to poprostu baśnią czytaną w jakiejś książce... Nie jestem bowiem taką, jaką byłam przed dwoma laty — nie mówiąc już o pięciu albo dziesięciu. Ten człowiek, którym ja mogłam być wówczas, jest mi bardziej obcym, aniżeli ty...

WISBY.

Słusznie!

LYDIA *wesoło*.

Czujesz to także?

WISBY *potakuje*.

LYDIA.

Nikt więc nie może od nas wymagać, abyśmy się przeszłością powodowali. Jesteśmy czemś więcej, niż dalszym ciągiem naszego poprzedniego ja. Ta nowizna, która nadchodzi, przeistacza nas!

WISBY.

Naturalnie.

LYDIA.

Już to samo, że znaleźliśmy się wzajem i zjednoczyli, daje nam nieskończony szereg nowych wrażeń. I to przenika wszystko sobą... Zmieniamy się i musimy inaczej postępować.

WISBY.

Czyż może kto wątpić?

LYDIA.

Nie! — ale zdobądźmy się jednak na tę odwagę.

Kłękaj przed nim.

Od wczorajszego wieczoru począwszy, tylko ty i ja!

Ty i ja! *Ostrożnie* Oby tylko przeszłość nie stanęła nam na drodze.

WISBY *niespokojnie.*

Nigdy! Obiecałem ci to! Przenigdy!

LYDIA.

Bo wówczas brakłoby mi tej odwagi. — Och! te wspomnienia, które zostawiłeś za sobą...

Wynagrodzę ci je!

WISBY.

Już je wynagrodziłaś!

LYDIA *wstaje.*

WISBY.

Każdem słowem twoim czynisz mnie szczęśliwym.
Podnosi się także.

LYDIA.

Tak mało wymagasz! Jesteś najszlachetniejszym mężczyzną. Dlatego mówić ci mogę co chcę... Obudziwszy się rano, a zasnąłam zaraz po twoim odejściu...

WISBY.

O młodości! Mówiłaś już o tem.

LYDIA.

Tak — do dziewiątej spałam! Potem zerwałam się i w jednej chwili byłam już ubraną, chcąc wyjść w ten jasny, słoneczny dzień do parku... do will... do jezior. Chciałam się wygrzać — wygadać!...

Wygadać?

WISBY.

URZĘDNIK: TOWARZYSTWA KRAKOWIE
KRAJOWA IV.

LYDIA.

Nie z ludźmi! Nie... Z willami, z drzewami... Zresztą — wiesz już o tem...

...Jakże ja również za Paryżem tęsknię. Pojedziemy tam razem.

WISBY.

Będziemy konie trzymać. Lubię konie.

LYDIA.

Muszą być siwki, a liberya jasno-szara. Ty będziesz sam powozik... Jesteś przecie tak pięknym chłopcem... ja obok ciebie... I zawiesz mnie wszędzie tam, gdzie dawniej... Och! jakżem szczęśliwa! *przytula się do niego. Wisby głaska jej rękę.* Ludzi będziemy zdala trzymać od siebie.

WISBY.

Tak.

LYDIA.

Chcemy ich widzieć tylko z naszej łoży, w operze, w teatrze i na wyścigach!

WISBY.

Tak. Tylko tam!

LYDIA.

Za to w zimie, wydamy kilka muzykalnych wieczorów. — Muszą wspaniale wypaść.

Tylko kilka — zresztą sami...

WISBY.

Sami — tak — sami.

LYDIA *zmuszając go do siedzenia.*

Nie myśl jednak, abym nadużywała twojej dobroci. Znam upodobania twoje nawskróś.

Pragnę zupełnie zjednoczyć się z tobą.

WISBY *siada.*

Kochana...

LYDIA *oddala się od niego.*

Wiesz, że jest coś, co mnie od dzieciństwa prześladowuje. U nas w domu, po drugiej stronie rzeki, stała fabryka beczek. Leżące na brzegu klepki wkładano i obręczami skuwano. Ach! to straszne uczucie, że się jest taką klepką, która się sama spoić nie może...

WISBY *wstaje.*

Lydio... mój przyjacielu — licz na mnie.

LYDIA *zbliża się.*

Wszystko, co dla mnie uczyniłeś i co teraz do mnie mówisz, jest wspaniałe...

Ale najwspanialszą jest ta właściwość twojej duszy, że umiesz przyjąć to, co ci dać mogę... co ci dać muszę. Nie każda to może. Większość przyjmuje tylko małe rzeczy... A ja chcę ci się oddać z ciałem i z duszą. Jako dziecko bawiłam się często w chowanego na polanie... w głębi lasu. I wyobrażałam sobie, że tę polanę ja tylko znam i ja ją posiadam. Słońce i ja. Tę łąkę daję ci w darze.

Nie — proszę cię — nie wstawaj! Chcę abyś siedział... tak... *klęka przy nim* a ja tu.

Jestem młoda. Młode ciepło wpromienię w ciebie. Gdy wichura i śnieżyca rozzwoni się o szyby... zastaniesz zawsze twój stół tak zastawiony, jak gdyby to było lato.

Mówiłeś, że męczą cię nieraz własne myśli... To już przeminie na zawsze, bo wówczas grać ci będę. Lubisz przecież muzykę.

WISBY *łęsknie.*

Kocham muzykę.

LYDIA.

Czytałam niedawno o krzaku róży, który zaglądał w okna chorego... Nie jesteś chory, ani ja nie jestem krzakiem róży... Ale wiem, że po części chciałbyś go mieć... chociażby dobrze ci się działo. I ja ci nim będę. Jestem pewna.

WISBY.

Jakaś ty dobra... jakaś ty dobra.

LYDIA.

Mówisz to tak smutnie? *Spogląda na niego z przestraszeniem* Możeś ty chory?

WISBY.

Nie — tylko trochę znużony.

LYDIA.

Nie wypaleś się?

WISBY.

Nie.

LYDIA *powstaje*.

Dlaczego? Ach mój Boże...

Czyś nie?...

Może serce?...

WISBY.

Nie — kochana! To coś całkiem innego.

LYDIA.

Stało się co? Dzisiaj w nocy? To niemożliwe! *Nagle* Dostałaś list!

WISBY.

Ależ nie — nie. Nic takiego. Nic się właściwie nie stało.

LYDIA.

Byłeś tak szczęśliwy, odchodząc wczoraj odemnie.

WISBY.

Tak. Możesz być o to spokojną.

LYDIA.

Byłabym spokojniejszą, gdybyś powiedział, co ci jest.

WISBY.

Gdyby co było. Ale nic niema.

LYDIA.

Myślałeś może o...? O czym?

WISBY.

Nie pytaj więcej... proszę cię...

LYDIA.

O! już teraz wiem. Śniłeś?

WISBY *patrzy na nią przez chwilę, potem potakuje.*

LYDIA.

Miałeś tak przygnębiający sen?

WISBY.

Może to nie był sen...

LYDIA.

Nie był?... Teraz musisz mi już więcej powiedzieć!

WISBY.

Nie powiem nic, bo nic nie było. I nie mówmy już o tem... To minie...

LYDIA.

A ja przyszłam tutaj taka wesoła i nie zauważyłam nawet twojego smutku.

WISBY *powstaje*.

Nie jestem wcale smutny. Zapewniam cię. Powie-
dzieliśmy sobie zresztą zaraz pierwszego dnia i po-
wtórzyliśmy to dzisiaj, że nas przeszłość nic nie ob-
chodzi. Nie powinna nas obchodzić.

LYDIA.

A więc to było coś z przeszłości? Jakby odwiedziny?

WISBY.

We śnie — czy na jawie — nie wiem. Śmieszne jest
nawet, że mnie to snu pozbawiło. Mówię ci — mówię —
upiory powinny być wygnane. Precz w ciemną noc
z powrotem wygnane!

Bo tutaj dzień nastał! Nowy dzień!...

Wyjdę na chwilę i przebiorę się. Potem zjemy obiad
i pojedziemy na spacer. Powietrze jest cudowne...

LYDIA.

Tak. Wcale pogodne. Ale ten cień, który na ciebie
opadł... pada teraz na mnie.

WISBY.

Lydia? Powinnaś mi raczej pomódz! To tak, jak
gdybyś mnie chciała w jakiś grób wciągnąć!

LYDIA.

Widzisz... Tak głęboko tkwisz w tem, że aż o ra-
tunek mnie prosisz. I toby mnie dotknąć nie miało?

WISBY.

Każde słowo wypowiedziane w tej sprawie... *Przystaje... odchodzi w głąb sceny... wraca... — Lydia podchodzi ku niemu.*

LYDIA.

...Twoja zmarła żona... odwiedziła cię dzisiejszej nocy...

WISBY *stoi przerażony i milczy.*

LYDIA *sama tem przejęta.*

We śnie — czy?...

WISBY.

Nie wiem.

LYDIA.

Czego ona od ciebie chciała?... Czego chciała?

WISBY.

Wróciłem właśnie od ciebie i położyłem się... wtem... ona stanęła przedemną. —

Pauza.

LYDIA.

Mówiła co?

WISBY *nyciąga rękę.*

Dość o tem! Nie powinienem był nic mówić.

LYDIA.

Być może. Ale teraz nie śmiesz przerywać...

WISBY.

Nie mogę mówić dalej —

LYDIA.

To ja powiem za ciebie. Powiedziała coś, czego nie masz odwagi powtórzyć...

WISBY *zrozpaczony*.

To nie jest dla światła dziennego... to... niech spo-
czywa!...

LYDIA.

W twojej duszy może?... W ciszy twych godzin
samotnych?

WISBY.

Odpędzam to od siebie — tak! *potrząsa energicznie
rękami, jak gdyby coś od siebie oddalał, mówiąc za każ-
dym razem...* Tak!

LYDIA.

Ale nie odpędzisz tego odemnie. Odtąd ile razy
popatrzę na ciebie, będę zawsze musiała myśleć: co
ona mu powiedziała?

WISBY.

To jest grzech! Bo jeśli się nie powtórzy... to zble-
dnie — coraz bardziej — z dnia na dzień — w końcu
pozostanie tylko cień — cień.

Jeżeli się jednak powtórzy... *przystaje — odwraca
się i idzie w głąb.*

LYDIA *za nim.*

Jeżeli się jednak powtórzy?

WISBY *zwraca się ku niej.*

Zrozum! Wtedy przywracamy marom życie. I wtedy
one rosną wciąż — bez końca. — Mówię ci — mówię —
rozsądni ludzie nie dopuszczają do siebie snów i upio-
rów... Dzisiaj wieczorem wyjeżdżamy stąd.

LYDIA.

Czy jesteś tego pewny, że nikt nie pojedzie z nami?

WISBY.

Z nami?

LYDIA.

I czy nie zasiędzie między nami?... i... przemówi...

WISBY.

Ależ Lydio!

LYDIA.

Jestem tego pewną! Widzę ją już za tobą.

WISBY *porusza się niespokojnie.*

LYDIA.

Będę ją zawsze za tobą widziała! Nie zbliżaj się do mnie!

Nie przychodzisz przecież sam!

WISBY.

Lydio!

LYDIA.

Ona mnie z domu wypędza! Któż może spać tam, gdzie ty śpisz! Z nią — przy tobie!

WISBY.

A jeśli przecież powiem? —

LYDIA.

Wtedy jest nas dwoje! Wtedy bierzemy się za ręce i stajemy naprzeciw wszystkiemu — cokolwiekby było i skądkolwiek by przyjsć miało.

WISBY *po namyśle.*

Dobrze. — *Nagle* Nie — nie powiem —

LYDIA *szeptem.*

A więc mówiła coś o mnie.

WISBY *milczy.*

LYDIA *ślupieje.*

WISBY *widzi to. — Patrzą nieruchomo na siebie.*

LYDIA.

Idź i przebierz się!

WISBY *odchodzi na prawo.*

LYDIA *stoi przez chwilę — potem spogląda tam, gdzie suknia ślubna leży. Podchodzi ku niej, bierze ją, rzuca na ziemię wraz z welonem i rękawiczkami i depce nogami. Rozrywa wieniec ślubny, targa go w kawałki i rozrzuca po pokoju. Poczem upada na krzesło, wyciągniętymi ramionami opiera się o stół i wybucha rozpaczliwym płaczem.*

WISBY *który zostawił za sobą niedomknięte drzwi, wraca i staje. Jest już przebrany.*

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Duży, bogato urządzonej salon hotelowy. Drzwi w głębi i na prawo. Z tej samej strony fortepian. W głębi kanapa. Na lewo starodawna stylowa szafa. Przy widowni stół, kanapa i fotele.

SCENA I.

WISBY *wchodzi, trzymając kartę wizytową w rękę. Za nim słuźący hotelowy.*

SŁUŻĄCY.

Oui, monsieur.

WISBY.

Madame est — elle levée?

SŁUŻĄCY.

Je ne crois pas, monsieur. Je vais demander.

WISBY.

C'est inutile. Faites entrer.

SŁUŻĄCY *wychodzi i zamyka za sobą drzwi.*

WISBY *otwiera szafę, w której stoją rzędem butelki i szklanki. Bierze jedną flaszkę i szklankę i nalawszy, wypija duszkiem, poczem zamyka szafę.*

SŁUŻĄCY HOTELOWY *otwiera drzwi.*

Na lewo nidać kelnera idącego pospiesznie z arkuszem papieru w ręku, który woła: Quarante deux, quarante trois et quarante quatre! — Jakies towarzystwo przejezdnych przechodzi, a jeden z panów mówi do służącego: Not too fare please! — Słychać głos starszej damy: Ou the sunny side, please. — Po nich nadchodzi z prawej strony:

DR RANN *trzymając pod pachą wielkie etui. Służący zamyka za nim drzwi.*

WISBY *podchodzi ku niemu i podaje mu rękę. Zaden z nich nic nie mówi. Dr Rann spogląda badawczo na Wisby'ego. Wisby odwraca się. Dr Rann kładzie etui.*

WISBY.

Przyjeżdża pan z Norwegii?

DR RANN.

...Przez Anglię.

WISBY.

Proszę, niech pan siada. —
Siadają.

DR RANN *rozgląda się.*

Jakie to ładne mieszkanie! Czy pan tu przez cały czas mieszkał?

Po każdej replice następuje pauza.

WISBY.

W lecie wyjeżdżamy.

DR RANN.

Słyszałem, że pan był w Szwajcaryi..

WISBY *rozpierając się wygodnie w fotelu.*
Kiedy pan wyjechał z Norwegii?

DR RANN.

Przed tygodniem.

WISBY.

Musiała tam jeszcze być zima w pełni.

DR RANN.

Cięzka zima — ale tem milszą jest wiosna.

WISBY.

Jak długo pan tutaj zostaje?

DR RANN.

To zależy... Nie przyjechałem tu dla siebie.

WISBY *ostro.*

Oczekiwałem pana...

DR RANN.

On jest młody. Lepiej wyszumieć się, póki się jest młodym...

WISBY.

Cały miesiąc go nie było, ale wrócił wczoraj wieczorem.

Ze zdumieniem: Wie pan już o tem?

DR RANN.

Wracam przecież od niego.

WISBY.

Och — tak.

DR RANN.

Mieszkam tu w hotelu — obok niego.

WISBY.

Tak? *Wstaje i idzie ku drzwiom po prawej, próbując czy są zamknięte.*

DR RANN.

Czy jest tam kto?

WISBY.

Wątpię — *siada* — te pokoje należą do nas.

DR RANN.

Słyszałem, że pan urządza muzykalne wieczory?

WISBY.

Tak.

DR RANN.

Czy ona zawsze tak dobrze gra?

WISBY.

Lepiej, niż kiedykolwiek! Mówię panu...

Przerywa — nachyla się i rzuca się naponrót w głąb fotelu, krzyżując ramiona i patrząc przed siebie.

DR RANN.

Więc spotkali się...

WISBY *nie zmieniając pozycji.*

Tutaj.

DR RANN.

I ona grała dla niego? Jego Rondo?

WISBY *zwraca się ku niemu.*

Żałuj pan, żeś pan tego nie słyszał!

DR RANN.

Kiedyż się to stało? Przed kilku miesiącami?

WISBY.

Tak. Mniej więcej. *Spogląda na dra Ranna.* Zabiera go pan ze sobą do domu?

DR RANN.

Nie mogę mu rozkazywać.

WISBY.

Pan? Jego wuj i opiekun?

DR RANN.

Nie chciałbym się w to mieszać nawet gdybym mógł.

WISBY *wstaje.*

Więc pan nie chce się w to mieszać?

DR RANN.

W każdym razie, nie w ten sposób, aby on to spostrzegł.

WISBY.

Och! *siada.*

DR RANN.

Lecz pan — panie Wisby.

WISBY *niepewnie.*

Jakto ja — ja?

~~BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TOWARZYSTWA
KRAJOWIE
KRAJOWIE
KRAJOWIE~~

DR RANN.

Dla czegoż pan nie wraca do domu? To byłoby najlepsze wyjście.

WISBY *rzuca się niecierpliwie naprzód, opuszczając ciężko ręce na kolana, jak gdyby coś teraz chciał powiedzieć — i kładzie się napowrót w fotelu.*

DR RANN.

Przed odjazdem byłem teraz u pana na wsi.

Wisby milczy.

Psy omało nie zwaryowały z radości. Przypuszczały zapewne, że pan jest niedaleko, skoro ja tam jestem.

Wisby porusza się niespokojnie.

Czy nie słyszy pan czasem ich szczekania? W lesie? W pańskim uroczym górskim lesie. Dianny radosnych ujadań?

WISBY.

Jakże — jak wyglądają moje psy?

DR RANN.

Zaczynają tyć. Nie mówiąc już o koniach. I to jest jedyny zarzut, jaki służbie uczynić mogę.

WISBY *z nybuchem.*

Och ten próżniak Ole! Ten śpioch! Tyle razy mu mówiłem! I pisałem nawet do niego: Nie rozpychaj mi psów. Ciągle kładłem mu w uszy: konie powinny być codzień w ruchu. *Mówi z wzrastającym gniewem* Nie do wytrzymania! Mówię panu — mówię panu, że niemam nikogo, komubym mógł zaufać.

DR RANN.

Więc pan przecież myśli o powrocie do domu?

WISBY *nie odpowiada.*

DR RANN.

Nie zapyta się pan nawet, co mnie na wieś sprowadziło?

WISBY.

Czyżby kto zachorował?

DR RANN.

Nie — wszyscy zdrowi... Ale myślałem o tem, że powinienem był panu coś stamtąd przywieść.

WISBY.

Mnie?

DR RANN *wstaje.*

Poszedłem do pańskiego gabinetu i wziąłem to ze sobą. — *Bierze ze stołu etui.*

Kazałem dorobić większy futerał *rozklada go na stole* i myślałem: może się ucieszy, zobaczywszy ją znowu.

WISBY.

Czyżby to była...?

DR RANN.

Tak, ona sama.

Otwiera futerał. Ukazuje się portret damy w naturalnej wielkości. Głowa jest szlachetna i niezwyklej piękności. Ramiona ledwo widoczne. Ma na sobie wysoko zapiętą suknię z szerokim, białym koronkowym kołnierzem. Portret przypomina uderzająco arcydzieła Van Dyka.

WISBY.

Amalia!

Podchodzi z wolna i trwożnie do obrazu i upada na ko-

lana. Powstawszy, wyjmuje chustkę i przeciera troskliwie cały portret.

DR RANN.

Czy zapruszony?

WISBY.

Zdaje się. Odstępuje kilka kroków od portretu, zaczyna płakać i siada.

DR RANN.

A pańska córka?

WISBY.

Nie mam córki. *Nowy wybuch płaczu.*

DR RANN.

Nie rozumiem pana?...

WISBY.

Mieszka tak daleko. — I nie odpowiada na moje listy...

DR RANN.

Pisałeś pan do niej?

WISBY.

Jeden list za drugim.

DR RANN.

A ja wiem, że odpisywała!

WISBY *ze zdumieniem* — *szeptem.*

Co pan mówi?

DR RANN.

Pisywała bardzo często. I mówi to samo co pan — że nigdy nie otrzymuje odpowiedzi.

WISBY *wstaje — spogląda mimowoli na prawo, postępuje kilka kroków w tym kierunku i wraca.*

Chce pan — chce pan być wobec mnie szczerym?

DR RANN.

Naturalnie.

WISBY.

Ciężko — bardzo ciężko przychodzi mi pytać się o to — ale nie mam nikogo, by zapytać — pisać zaś nie chcę... *Ogląda się* Kto ona? *Spogląda na prawe drzwi i powtarza z trudem* Kto ona jest. *A gdy Dr Rann nie zaraz odpowiada, dodaje* Boję się — boję się, że ją wszyscy znają, oprócz mnie.

DR RANN.

To możliwe.

WISBY *wzruszony, rozgoryczony, głosem stłumionym.*

Nikt mi nic nie powiedział — nikt — nawet pan!

DR RANN.

Czyż zostawiłeś nam pan czas na to? Któż mógł przypuszczać, co pan zamierza?

WISBY.

Być może. Być może. Ale przecież — że też nikt mi nic nie powiedział! Ona była przecież u nas w domu.

DR RANN.

Tak, była. Lecz po pańskim tak nagłym odjeździe, myśleliśmy wszyscy, że pan jedzie, aby swoją córkę do domu przywieść. Obawa zakażenia już wtedy minęła. Pan wypłynął natomiast w Paryżu — żonaty!

WISBY.

Dajmy temu już pokój!... Co mówią o tem ludzie?... Nie oszczędzają mnie! prawda? Cóż mówią?

DR RANN.

Czy nie usiądziemy?

WISBY.

Dobrze. Ale po cóż właściwie?

DR RANN.

Bo chcę panu coś opowiedzieć, do czego potrzebuję czasu. — *Siadają.*

WISBY *wstaje.*

Przepraszam, w tej chwili panu służę. *Zamyka futerał i siada.* Więc?

DR RANN.

Było to przed kilku laty. W jednym z miejsc kąpielowych w Norwegii pojawiła się pewnego razu — w pełni sezonu — młoda, piękna i wytworna kobieta — słynna pianistka.

WISBY.

Ach tak!

DR RANN.

Ta pianistka została w dziwny sposób dotknięta bezwładem.

WISBY.

Kto?

DR RANN.

Ona. — Nie była nawet w stanie poruszać nogami. Musiano ją dźwigać i nosić i w wózku wozić...

WISBY.

Nie — coś takiego!...

DR RANN.

Czekaj pan!

Może pan sobie wyobrazić, jak chętnie opiekowali się nią panowie...

WISBY.

Lecz!... Nie opowiadała mi o tem nigdy.

DR RANN.

Przynosili ją do stołu i odnosili — do fortepianu i od fortepianu... Wyszadzali z wózka i wsadzali. — Nie chcę zresztą przesadzać — że się brano za bary — ale musiała używać całej swojej powagi, aby utrzymać spokój, bo nie znosiła żadnych awantur. Była pełną godności — nawet niezwykle. Nie wyróżniała nikogo, tak, że każdy miał trochę nadziei. Ubiegano się tylko o jej łaskę. Potworzyły się stronnictwa. Starsi panowie narażali się na śmiech, żonaci szli do rozwodu — kobiety wyjeżdżały, gdy w tem — stało się coś...

WISBY.

Ocierając pot z czoła.

O!...

DR RANN.

Najmłodszy lekarz kąpielowy, najbardziej ze wszystkich zakochany, musiał odstąpić swoje mieszkanie cho-remu i wyznaczono mu pokój obok niej na parterze. Spać naturalnie nie mógł. Leżał cicho i nadśluchiwał, czy ona się nie poruszy — czy nie wzdycha — nagle — wśród najgłębszej nocy słyszy, że wstaje i zaczyna chodzić tam i napowrót.

WISBY.

Więc chodziła?!

DR RANN.

Ależ naturalnie! Tam i z powrotem, całą godzinę. Następnej nocy tańczyła! Bo ta dama była zdrowa jak rydz i musiała się ruszać. Trzeciego dnia nie usłyszał już nic, bo wyjechała. Zupełnie niespodziewanie — chyłkiem. Dał jej do zrozumienia, że zna jej tajemnicę.

WISBY.

Nie — coś podobnego w życiu mojem!...

DR RANN.

Cała ta historia, była mu tak nieprzyjemną, że wstydził się mówić o niej. Dopiero po pańskim ślubie ją opowiadał.

WISBY *wstaje i postępuje kilka kroków.*

DR RANN.

To była zabawna historia, nieprawdaż?

WISBY *śmieje się nienaturalnie.*

Cóż dalej — cóż dalej? Będzie jeszcze co więcej?

DR RANN.

No tak — z tym starym Stephansenem.

WISBY.

Stephansenem z...?

DR RANN.

Ten, ten — z tym bogaczem!

WISBY.

Ależ! on już umarł!

DR RANN.

Tak, już umarł, ale żył długo, ogromnie długo żył ten pan. Odziedziczyła po nim rentę.

WISBY.

Po nim? Więc to po nim?... A mówiła... *zmusza się do spokoju i siada*. Jakżeż więc było ze starym Stephansenem?

DR RANN.

Siedemdziesiąt lat, czy nawet więcej miał już ten stary hultaj, kiedy ją poznał. I tak się zakochał, że po całej Europie za nią jeździł. Mieszkał zawsze w tym samym hotelu co i ona. To trwało latami. W końcu chciał koniecznie się z nią ożenić, lecz rodzina sprzeciwiła się temu. Nic dziwnego! Nie chcieli przecież tracić jego pieniędzy. Zmuszono go nawet do zerwania... Odtąd stary stetryczał...

WISBY *po chwili*.

Więc ta renta pochodzi od niego!... Wie pan jeszcze coś o tem?

DR RANN.

Nie wiem wszystkiego, ale czytałem przed kilku laty o pewnym młodym angielskim oficerze, który zastrzelił się w hotelu w Amsterdamie — przed drzwiami jakiejś artystki. Ta historia wzbudziła nawet sensację. Wszystkie dzienniki pisały o tem.

WISBY.

To było... to było jeszcze za życia mojej żony.

Zdaje mi się, że czytaliśmy oboje. Z pewnością!... Miałażby to być ona?

DR RANN.

Nazwiska nie podawano, tylko pierwsze litery, jestem jednak pewny, że to była ona.

WISBY.

Przed drzwiami... więc nie w pokoju?

DR RANN *ze zdumieniem.*

Ależ Wisby? —

WISBY *wstaje.*

Daj mi pan spokój! *Odchodzi w głąb sceny.*

DR RANN *patrzy za nim.*

Oficer nie miał zapewne majątku.

WISBY *przystaje nagle.*

Sądzi pan, że ja mogę wrócić do domu?

DR RANN.

Sam? Tak. *staje.* Mówmy jednak otwarcie: długo to ma jeszcze trwać?

WISBY *oddala się wzburzony -- wraca — chce coś powiedzieć, w końcu:*

Wtedy gdy wyjeżdżała od nas... był mroźny, burzliwy dzień zimowy... bez śniegu. Moja żona leżała znów chora... a ona wsiadała do powozu... ona — przywożąc nam muzykę... i nadzieję. I było tak... jak gdyby życie odchodziło od nas. Zaklinałem ją, aby została... nie chciała. Wtedy...

DR RANN.

Przepraszam, że panu przerywam. Nie odjechała do browolnie!

WISBY.

Co pan mówi?

DR RANN.

Mówię, że nie odjechała dobrowolnie.

WISBY.

Jakto... więc pan?...

DR RANN.

Tak. Wypędziłem ją z tego domu.

WISBY *lekliwie.*

Dlaczego?

DR RANN.

Ona chciała ją zabić.

WISBY.

Ją zabić?

DR RANN.

Nie sztyletem, ani trucizną, ale oczami — wola. Chciała zająć miejsce pańskiej żony.

WISBY.

Mój Boże!

DR RANN.

Chora to czuła. I to wystarczyło. Czego ona nie czuła?!

WISBY.

Co? — co?

DR RANN.

Widzę, że się pan domyśla.

WISBY.

Na Boga się zaklinam, że nie wiedziałem wtenczas o niczem. Nawet słowem, nawet spojrzeniem nie zdradziłem mojej biednej żony!

DR RANN.

Nie. — Ale ona czuła, coś pan myślał. I to wystarczyło. Gdyby nie tak było, byłaby ta druga nie zwyciężyła...

WISBY *patrzy na dra Ranna i osuwa się na krzesło, obok którego stoi.*

DR RANN.

Nikt przecież tego nie twierdził, że ona musiała umrzeć. Gdybym był nie wierzył w jej wyzdrowienie — gdybym był nie wiedział, że jest na drodze do poprawy — czyżbym był odjechał? Byłżebym ją zostawił na łasce obcego lekarza? — Nie.

Wróciłem do domu — zapóźno. Wszystko się już skończyło.

WISBY *wstaje wzburzony i zaczyna chodzić wielkimi krokami po pokoju. Naraz — staje przy szafce i otwiera ją. Przypomina sobie jednak, że nie jest sam. Zamyka więc drzewiczkę z łośkotem — wraca i siada. W końcu mówi cichym, zmęczonym głosem:*

Dlaczegoż nie powiedziałeś mi pan o tem?

DR RANN.

Chciałem pana oszczędzać. Czyż nie pojmujesz tego — człowieku?

WISBY.

Oszczędzać mnie? Ha — ha! Byłbyś mnie pan oszczędził, powiedziawszy wszystko.

DR RANN.

Byłeś pan zresztą tak zrozpaczony, że sądziłem, iż pan odczułeś ów związek...

WISBY.

Nie, nie, nie!

DR RANN.

Kiedyż więc nasunęły się panu pierwsze wątpliwości?

WISBY *w ekstazie.*

Mówię panu, mówię panu — ona weszła tam do mnie, tak jak żywa — w czarnej sukni z koronkowym kołnierzem...

DR RANN *szeptem.*

Amalia? Pańska zmarła?...

WISBY.

W samą noc poślubną! Siedziałem na łóżku i zdawało mi się, że jestem zupełnie przytomny. Ona poszła ku mnie, patrząc na mnie tak rozpacznie smutno: «Ta, od której teraz wróciłeś, zabrała mi życie» rzekła.

DR RANN *szeptem.*

Powiedziała to?

WISBY.

I od tego czasu wszystko przemieniało się w rozpacz. Nie mogłem o niczem innym myśleć.

Odchodzi od dra Ranna i wraca.

Lecz, jeżeli jestem jej współwinnym... wtedy..
wtedy...

DR RANN.

To nie może tak dalej trwać.

WISBY.

Musi. Właśnie dlatego!

DR RANN.

Jest jedna osoba, która panu pomódz może.

WISBY.

Mnie? Mnie pomódz? Sądzi pan, że ja proszę o pomoc? Sądzi pan, że ja sobie kiedykolwiek przebaczę? Zna pan to przysłowie: jaki siew, taki plon! A my tak zbieramy, bo nie zasialiśmy nic. Zbieramy zielska! Moje życie nie zna pracy — i to właśnie budzi niezdrowe instynkty.

DR RANN *przerywając*.

Tak dalej być nie może. Krótko mówiąc, jest tylko jedna, która ma moc przebaczenia. I ona może udzielić jej panu, dzień za dniem, zwolna, w pańskim, własnym domu...

WISBY.

Borgny? Czyż ja się odważę zobaczyć ją po tej strasznej świadomości, jaka na mnie spadła?

DR RANN.

Ale ona znajdzie w sobie dość siły. To najważniejsza... Ona panu da spokój. — Chcąc to przyspieszyć, wziąłem i jej portret ze sobą. *Idzie do stołu i bierze futerał do ręki.*

WISBY.

Odemknij pan.

DR RANN *odmyka.*

Matka i córka podobne są do siebie, jak dwie...

WISBY *z oczyma utkwionemi w obraz, nie słucha go i mówi równocześnie.*

Wielki Boże! — Błagam — błagam — przebacz!

DR RANN.

Mam go panu zostawić?

WISBY *trwożenie.*

Mnie? — nie — weź go pan ze sobą. *Idzie bezwiednie ku drzwiom po prawej — cicho.* Są otwarte! — Teraz już nic! — ale to ona była!

DR RANN.

Te drzwi były już od dłuższego czasu otwarte.

WISBY.

Czy to możliwe? — kiedy ja zaglądałem.

DR RANN *stojąc przy obrazie.*

Więc nie chce go pan zatrzymać?

WISBY.

Nie. Weź pan to z sobą. Nie śmie tu być.

DR RANN *zamykając szybko futerał, zabiera go z sobą i chwyta za kapelusz.*

A więc idę. Do widzenia.

BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE
SEKOYA IV.

WISBY.

Idzie znowu bezwiednie ku drzwiom po prawej, a odwróciwszy się widzi, że dra Ranna już niema. Spostrzega otwarte drzwi i chce je zawrzeć. Zewnątrz ukazuje się kobieta o rysach i stroju podobnym do portretu. Wisby cofa się i woła:

Lydio! Ależ Lydio!

LYDIA wpada w wytwornej, wolnej sukni porannej, z rozpuszczonymi włosami. Spostrzega to samo zjawisko i przypada do męża. Stoją trwożni, przyciśnięci do siebie. Zjawisko kobiety chce wejść — lecz przechodzi mimo drzwi.

WISBY.

To — to już drugi raz! Teraz już nikt nie może o tem wątpić!

LYDIA przerażona.

Ale cóż to jest?

WISBY wzburzony.

Czy nie mówi ci tego twoje sumienie?

LYDIA ochłonęwszy.

Moje sumienie? — Idź i zamknij drzwi.

WISBY.

Nie mam odwagi.

LYDIA.

Więc ja! *Idzie w głąb sceny, przystaje i cofa się. — W tej samej chwili drzwi zamykają się same.*

WISBY zbliża się ku niej.

Co widziałaś?

LYDIA

Nic. Tu wogóle nic nie było. Absolutnie nic. A ty jesteś naturalnie pijany!

WISBY.

Co? ja?

LYDIA.

Oto jest dzieło doktora Ranna.

WISBY.

Doktora Ranna? Ależ Lydio!

LYDIA.

Słyszałam każde słowo, któreście z sobą zamienili!

WISBY.

Słyszałaś?!

LYDIA.

Wydałeś mnie poprostu na pastwę. To jest oszustwo. A mówileś wówczas, że mamy zacząć nowe życie. Co za nami było, mieliśmy zapomnieć — ja i ty. Tak obiecałeś. Złamałeś jednak twoje przyrzeczenie pierwszego zaraz dnia i od tego czasu ciągle! — ciągle? Nie namęczyłeś mnie dosyć?

WISBY.

Lydio!

LYDIA *tupie nogą.*

Czyż nie słyszałam już wszystkiego? Możeś jeszcze nie skończył?

WISBY *z godnością.*

Ja idę, lecz powiadam ci... powiadam! — *wychodzi.*

LYDIA *mówi za nim, przedrzeźniając go.*

«Powiadam ci — powiadam ci!»! Och — jesteś nikczemny! Okłamaliście mnie podle — błotem obrzucili! — podle — podle! —

Odwraca się i chodzi po pokoju wściekła, ale pewna zwycięstwa. Drzwi stoją otworem, bo Wisby zapomniał je w gniewie zamknąć. Słychać nucenie jakiejś melodyi i ukazuje się w drzwiach młody człowiek — blondyn.

SCENA II.

LANGFRED.

Czyś to ty?

Wchodzi i zamyka za sobą drzwi. Poczem zbliża się do Lydii zwołna, jak gdyby już przeżywał rozkosz.

LYDIA *usłyszawszy nucenie, przystanąła. Jej twarz rozjaśnia się. Podnosi obie ręce do piersi. I tak stoi, nie zwracając się ku niemu.*

LANGFRED *zachodzi z tyłu i szepcze jej do ucha.*

Dziękuję za wczorajszy wieczór! obejmuję ją nypól.

LYDIA

zwraca się szybko i przytula głowę do jego ramienia.

LANGFRED.

Liduś!

LYDIA *wybuchła łzami.*

LANGFRED.

Cóż się stało?

LYDIA.

Nie opuszczaj mnie!

LANGFRED.

Co ci jest, najdroższa?

LYDIA *nie odpowiada. Widzimy jednak z łkań, które nią wstrząsają, że płacze.*

LANGFRED.

Doznałaś może jakiej przykrości z mojej winy? *Lydia milczy.* Powiedziano ci co?

LYDIA *wstrząsa głową.*

LANGFRED.

A wiesz, że mój wuj jest tutaj?

LYDIA *gwałtonnie.*

Nikt nas nie śmie rozłączyć, Langfredzie!

LANGFRED *szybko.*

Czy mówił co z tobą? *Milczenie.*

Czy ci co powiedział?

LYDIA *potrzęsa przecząco głową.*

LANGFRED.

Rozmawialiśmy dzisiaj długo o tobie — wuj i ja.

LYDIA *podnosi głowę, wysuwając się nieco z jego objęcia.*

Cóż powiedział?

LANGFRED.

Zna cię. Nie wiedziałem o tem.

LYDIA.

Cóż mówił?

LANGFRED.

Tylko dobrze.

LYDIA *zamysła się; w końcu:*

O — on jest mądry!

LANGFRED.

Dlaczegoż to tak mówisz?

LYDIA.

Dla tego, że ty jesteś niemądry. On nas nie rozłącza, Langfredzie!

LANGFRED.

Wuj? Skądże ci to przychodzi na myśl?

LYDIA.

Nikt na świecie, nie może się stać tem dla ciebie, czem ja jestem. Sam to przyznałeś. Powiedz jeszcze raz — jeszcze raz!

LANGFRED.

Nikt w świecie!

LYDIA.

Bo nikt cię tak nie kocha, jak ja. Nikt nie potrafi cię tak kochać, jak ja. I nikt tak nie rozumie twojej muzyki i ciebie, jak ja. Powiedziałeś to — prawda, że powiedziałeś?

LANGFRED *całuje ją namiętnie.*

Czy ci to wystarcza za odpowiedź?

LYDIA.

Nie — nigdy dosyć.

Och — tak, jak ja cię teraz obejmuję ramionami, tak chcę się wpić w twoje myśli. Nasza miłość idzie w parze z naszą pracą. Powiedziałeś tak. Pamiętasz? Mówiłeś o zdrowych ludziach, że wybierają tym samym instynktem pracę i żonę. Powiedziałeś to do mnie!...

LANGFRED.

Może być.

LYDIA.

Tak mówiłeś! Mówiłeś tak — z pewnością. Dumną byłam z tego.

Zanim cię poznałam, kochałam już twoje Rondo. Czy to nie był widomy znak? I siedziałam i grałam to Rondo właśnie wtedy, gdy przyszedłeś. Pierwszy raz! Niespodziewanie... To musi mieć przecież jakieś znaczenie.

To było zrządzenie losu? nieprawdaż?

LANGFRED.

Grałaś wówczas to Rondo jak nikt przedtem...

LYDIA.

Więc i to nawet! To nie mógł być wypadek?

LANGFRED.

Nie wiem. Ale to wiem, że od tego czasu nie mogliśmy się już rozłączyć.

LYDIA *z zapalem.*

Tak — tak... I że to Rondo wzmagało się i potęgniało... aż stało się operą.

LANGFRED.

Nie — już było nią.

LYDIA.

Jakto?

LANGFRED.

Nie pamiętasz? Za pierwszym zaraz razem, mówiliśmy o tem. Z Ronda — operę. I wyzwolić w niej tę wielką tęsknotę natury, która żyje w baśni...

LYDIA.

Tak. Może. *Pieszczollinwie* Dla tej opery musimy teraz żyć.

LANGFRED *ciepło*.

Naturalnie.

LYDIA.

W takim razie, nie może też nikt nas rozłączyć.

LANGFRED *spogląda na nią ze zdziwieniem*.

Dlaczego to mówisz?

LYDIA.

Czuję zbliżające się niebezpieczeństwo. Tak. Wiem na pewne. To znaczy, przeczuwam je... Takie rzeczy przeczuwam zawsze...

Langfredzie — jedźmy!

LANGFRED.

Teraz?

LYDIA.

Jeszcze dzisiaj w nocy! Sama nie wiem, ale czuję, że musimy jechać. O proszę Cię — jedźmy.

LANGFRED.

Muszę więc wujowi o tem powiedzieć.

LYDIA.

Nie, nie, nie! To on właśnie...

LANGFRED.

Chce nas rozdzielić?

LYDIA.

Tylko po to przyjechał.

LANGFRED.

Wuj?

LYDIA.

Tak, ja to wszystko czuję... I wiem!...

LANGFRED.

Ależ, on mówił coś wręcz przeciwnego. — Słowo ci daję.

LYDIA.

Co ci mówił?

LANGFRED.

Że pojmuje to doskonale, iż my się kochamy...

LYDIA.

To brzmi bardzo dwuznacznie, Langfredzie...

LANGFRED.

Wuj jest wcieleniem otwartości i prawdy.

LYDIA.

Nie przeczę.

LANGFRED.

Od śmierci ojca jest moim najlepszym przyjacielem i mówi zawsze wszystko to, co czuje.

LYDIA.

Nie wątpię.

LANGFRED.

Zresztą... mój Boże... nie moglibyśmy pograć trochę? Taki jestem spragniony muzyki. Po nią przyszedłem tutaj. Tak dawno już nie grałaś.

LYDIA.

Muszę być do tego usposobioną...

LANGFRED.

A teraz nie jesteś? O! jaka szkoda?

LYDIA.

Zrozumiesz, że jeżeli mam grać dla ciebie, to muszę tak — prawdziwie...

LANGFRED.

...Więc mówmy przynajmniej o muzyce. Ach tak! Przez cały ten miesiąc nie widziałem nawet człowieka... Siadajmy!... Nie rozmawialiśmy jeszcze ze sobą. Bo wczoraj...

LYDIA.

Et!...

LANGFRED.

Nie będę więc mówił o wczorajszym dniu. Zbyt to piękne, by mówić o tem.

LYDIA.

Siadziemy?

LANGFRED.

Ale tak, jak zwykle. Ty tutaj *wskazuje jej miejsce na kanapie* a ja przy tobie.

LYDIA *pozwala się prowadzić.*

LANGFRED.

O jak to już dawno temu...
Lydia kładzie się na kanapie. Jedno ramię podłożyła pod głowę, drugie opuszcza wzdłuż ciała.

LANGFRED *poprawia jej suknię. Prostuje się i patrzy na nią.*

Jak fala! Widziałem raz na obrazie falę. Jedną, jedyną, która szła wprost na nas...

LYDIA *śmieje się.*

...Aby nas zatopić?

LANGFRED.

Tak — wessać!

LYDIA.

Undina — zawsze ta Undina!...

LANGFRED *przysuwając krzesło.*

O czymże chcesz, abym myślał? *siada.*

LYDIA.

Zdarzyło mi się coś podczas twojej nieobecności...

LANGFRED.

Zdarzyło ci się?...

LYDIA.

To nie jest właściwe słowo. Powiedzmy... przywidziało mi się.

LANGFRED.

...Zajmujesz się wizyami?

LYDIA *śmieje się.*

Ależ nie. Opowiem ci tylko jak to było: widziałam śnieżne płatki wirujące w słońcu...

LANGFRED.

Śnieg padał? W czasie słonecznej pogody?

LYDIA.

Nie padał — nie — to były płatki śnieżne — cudowne, subtelne kryształki śniegu, które migotały w powietrzu...

LANGFRED *z zajęciem.*

...W jasnym, słonecznym powietrzu?...

LYDIA.

Tak! Nie widziałam nigdy coś równie iskrząco czystego. Lśniły w powietrzu — w słońcu — miliony iskier opadających bezgłośnie...

LANGFRED.

Jakby to wspaniale wyglądało w muzyce. W tonach? Nie?

LYDIA.

Zgadnij, co ja z tego stworzyłam...

LANGFRED.

O! chór serafinów... daleki i niewidoczny?

LYDIA.

Nie! — Duchem byłam bliżej — bliżej tu... Myślałam o tobie i o sobie.

LANGFRED.

Jak to?

LYDIA.

Gdyby wszystko ułożyło się według twojej woli, musiałabym się w muzyce twej rozpylić w atomach. Powinnabym w niej lśnić się jak płatki śniegu i uszla-
chetnić ją — rozumiesz?...

LANGFRED.

Dalibóg, że nie!

LYDIA *powstaje.*

Ty kochasz mnie tylko w twojej muzyce...

LANGFRED.

...Bezcieleśnie?

LYDIA.

Widzisz we mnie tylko swoją Undinę!

LANGFRED.

A gdyby?

LYDIA *z zapalem.*

Gdyby tak było? — To dla mnie nie dosyć. Ja ko-
cham ciebie!

LANGFRED.

Nie mogę dostrzedz różnicy?

LYDIA.

Nie możesz? *Kładzie się z powrotem* No — wszystko
już ustaje...

LANGFRED.

Sądziś więc, że mogłabyś mnie kochać bez mojej
muzyki?

LYDIA.

Tak! Mogę!...

LANGFRED.

Lecz bez muzyki nie mogłabyś mnie poznać... Bez niej byłbym przecież zupełnie innym.

LYDIA.

Ależ ja chcę być czemś więcej dla ciebie, niż Undiną. Napelniasz mnie trwogą.

LANGFRED.

Tak? Czyż nie wiesz czem jest dla mnie Undina?

LYDIA.

Tekstem operowym! Garścią motywów, tematem twórczym! Być może, że nie wyczerpanym. — Na s jednak niema w niej.

LANGFRED.

Cała nasza natura utkwiała w niej.

Ona przecież wybierała, do dyabła! i to, a nie co innego wybrała!...

Później — pójdziemy może innemi drogami i spotkamy się znowu — może — teraz jednak jesteśmy tutaj! W ten sposób wyzwala się nasza dusza i rozszerza! Wszak tak! nieprawdaż?

LYDIA *szeptem*.

Może — po części.

LANGFRED.

Czemże jest Undina, jak nie morzem — pieśnią o morzu. — O tym oceanie, zdążającym do lądu... O tęsknocie fali do spokoju...

Pamiętaj, że w morzu i niebo odbić się może...
niebo!

Co za tęsknica! Z jakim upragnieniem wygląda
morze — wieczności!

Nie prawda?

Co za ból tęsknicy!... Łądu z posad nie wzruszy...
nieba nie dosięże...

LYDIA *szeptając.*

Nie!

LANGFRED.

Ale to jest właśnie muzyką! — O droga! — Muzyką ży-
cia... Muzyką wołającą o życie, jak ocean o ląd. Burzą,
która z szalem gna w dal na wiry i otchłanie — jakiś
pęd — to, co się uchwycić nie da, ani dogonić — ale
też nigdy nie zazna spokoju.

LYDIA *szeptem.*

...Undina.

LANGFRED.

Tak. Ta Undina, która ku niebu ręce wyciąga z błą-
ganiem — o jeszcze — o więcej. — Ona odbija niebo
w sobie, ale go nie posiada. Więc wali się w bezdeń
upadku — precz od wszystkiego, co stałe i niedosię-
żone. To obejmuje — to ucieka — pożąda i omija.

LYDIA

podnosi się drżąca i chce go do siebie przyciągnąć.

LANGFRED.

Wiecznie na pograniczu, między znanem a niezna-
nem... i dalej, niż sama wie, idzie muzyka. Gdy wszystko
już wypowiedziane — ona mówi dalej... I kończy się
tam dopiero... gdzie i ona już nic powiedzieć nie zdoła.

LYDIA.

Langfredzie!

LANGFRED.

...Zadaje i rozwiązuje zagadki. A oczy, pełne nieba, zwraca w siebie i lka...

Och!... znam te przerażające chwile... znam...

...Byłbym w stanie sam odrzucić się — sam — jak ta fala rozpryskująca się w pianę o głązy.

Bo jej nie dosięgnę... nie dosięgnę!...

LYDIA *tuli się do niego.*

LANGFRED *oprzytomniawszy.*

Nie płacz kochana — to nie ciebie — to mnie się tyczy.

LYDIA.

Nas obojga!

LANGFRED.

Nie płacz! Chciałem tylko, abyś zrozumiała, że to nie jest tak mało, jeżeli nazywam cię Undiną.

LYDIA.

Wybacz! Mnie ciągle trwoga dławi. Weź ją ode mnie. Przytul mnie do siebie — ukryj!

LANGFRED.

Nigdy cię nie opuszczę!

LYDIA *namiętnie.*

O Langfredzie! To imię! Langfredzie! Dano ci dla mnie to imię. Ty mi przyniesiesz długi spokój.

LANGFRED *z zaufaniem.*

Czy wierzysz w to, że ja rozumiem...

LYDIA.

...Od szesnastego roku życia... nie... pierwiej jeszcze... gdy siedziałam na estradzie i grałam... grałam... nachodziły mnie pragnienia, aby przyszedł ktoś — wybawiciel... i wyniósł mnie, zabrał! W cieniste gaje wyniósł... tam, gdzie nikt mnie dojrzeć nie zdoła i ja nikogo. O tem myślałam, grając. I nikt nie nadszedł.

LANGFRED.

Lydio!

LYDIA.

O — przychodzili niektórzy, ale nie ten, który mnie w dal miał unieść... nie ty!

LANGFRED.

Undino! jakżeś się nudzić musiała...

LYDIA.

O! —

LANGFRED *z zaufaniem.*

I z nudów poppełniało się maleńkie głupstwa, nieprawdaż?

LYDIA *uwalnia się z objęcia.*

Czy wiesz coś? Czyś?...

LANGFRED.

Ależ nic! Rozumiem to tylko!

LYDIA.

Rozumiesz? —

LANGFRED.

Nie można tak grać, jak ty, jeśli się nie...

LYDIA.

...Czuło wielkiej tęsknoty — Langfredzie!

LANGFRED.

Więcej, niż tęsknoty! Nieprawda? Gdym cię pierwszy raz słyszał grającą — wiesz — co pomyślałem?

LYDIA *milczy.*

LANGFRED.

Pomyślałem: ta weszła w życie głęboko. Owe wspaniałe, przejawione głębie tajników duszy... nie spadły jej z nieba. Ona musiała sama stać w Malstromie, blizka przepaści. To był krzyk serca!

LYDIA.

O! —

LANGFRED.

Ale wyszła z wirów nietknięta! Co za siła!

LYDIA.

Ty mi ją dałeś, Langfredzie.

LANGFRED.

Nie — nie widziałaś mnie wówczas.

LYDIA.

Spostrzegłam cię zaraz, skoro tylko wszedłeś. Jak możesz się w takich rzeczach mylić!

LANGFRED.

Nie widziałś mnie. Jestem tego pewny. Nie patrzyłaś wcale. Czekałem na twoje spojrzenie.

LYDIA.

Więc czułam, że jesteś... Gdy gram, odczuwam wszystko.

LANGFRED.

Być może.

LYDIA.

O Langfredzie! Wszystko tak się stało, jak śniłam. Grałam, gdy wszedłeś. Wziąłeś mnie w ramiona i zaniosłeś w cieniste ustronie. *Opiera się o niego*. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego to nie mogło stać się pierwej. Młodszy jesteś odemnie. I to właśnie mnie niepokoi.

LANGFRED.

Z nas dwojga, jesteś ty młodszą — silniejszą — dzikszą.

LYDIA

rzuca mu się na szyję z cichym okrzykiem.

Czy nie tak?

Miłość to sprawia, Langfredzie.

LANGFRED.

Miłość?

LYDIA.

Tak. Miłość czyni nas większymi. Kochając — pragniemy tylko: być większymi.

LANGFRED.

Jak mądrze dzisiaj rozprawiasz.

LYDIA.

Nie mógłbyś przecież żadnej innej kochać jak tylko taką, która daje ci pieśń muzyki, więcej muzyki?

LANGFRED.

Nie.

LYDIA.

Widzisz... Twoja kochana musi być sama wcieleniem muzyki.

LANGFRED.

Tak. Ale może być wcieleniem muzyki — nie grając.

LYDIA.

Może być wcieleniem muzyki, nie grając?

LANGFRED.

Może.

LYDIA.

I ty w to wierzysz?

LANGFRED.

Wiem to napewne.

LYDIA.

Spotkałeś już może taką, która...

LANGFRED.

Spotkałem! O! ile!

LYDIA.

Takie, które dawały ci muzykę... nie umiejąc grać!

LANGFRED.

Naturalnie! — Posłuchaj — jeślibyś była teraz usposobioną...

LYDIA.

Do grania?

LANGFRED.

Tak! — Zagraj co!

LYDIA.

Teraz, gdy mi przed chwilą powiedziałaś, że to nie jest — umieć grać?!

LANGFRED.

Nie powiedziałem tego.

Nie moglibyśmy zresztą o czem innem mówić, jak o sobie?

LYDIA.

Zapewne.

LANGFRED.

Wybacz Lydio, ale coś leży mi na sercu, czego wczoraj powiedzieć nie mogłem. A nie chcę, aby nam to zatruło nasze pierwsze chwile...

LYDIA *z bojaźnią.*

Co takiego?

LANGFRED.

...Nie robiłem nic przez cały ten czas. Nie potrafię już więcej pracować...

LYDIA *przestraszona.*

Nie możesz pracować?

LANGFRED.

Nie mogę.

LYDIA.

Ty? — Ty, którego dusza jest bogatszą od wszystkich innych?

LANGFRED *porywczo*.

Nie mów mi tego.

I przebacz.

Po ostatniem naszym widzeniu miałem pełną głowę pomysłów. To prawda. Nigdy przedtem nie miałem ich więcej. Mimo to nie mogłem nic z nich stworzyć. Spokoju mi brakło.

LYDIA.

Wyjechałeś przecież dlatego, aby mieć spokój.

LANGFRED.

Tak, ale go nie znalazłem. Nie umiem już pracować! Może sam motyw temu winien? Nie wiem. Dla mnie już nie jest on prawdziwy. Tylko ta tęsknota — ta wieczna tęsknota.

LYDIA.

...Za duszą... za bujniejszym życiem...

LANGFRED.

Być może. Ale to jest nieskończone potężnienie przyływu i odpływu — jak u Wagnera.

Lecz ja już temu nie sprostam.

LYDIA.

Nikt, nikt nie umie przerzucać motywu w tak niezliczone odmiany, jak ty.

LANGFRED *z rozpaczą.*

Nie mów mi tego —
Powiem ci zresztą prawdę.
Gdy jestem zdala od ciebie, wszystko rozluźnia się
w wielką tęsknotę za tobą. A gdy jestem przy tobie —

LYDIA *przerываяjąc.*

Chodźmy do fortepianu!

LANGFRED.

Chodźmy — Bylebym się odważył —

LYDIA.

...Odważył? Chciałeś przecież tego.

LANGFRED.

Pozwól — *sięga do kieszeni.* Przyniosłem ci coś.

LYDIA *idzie do fortepianu.*

Dlaczegoż nie powiedziałeś tego odrazu.

LANGFRED.

Nie jestem siebie pewny. Może —

LYDIA *otwierając fortepian.*

Chodźże! — *uderza kilka taktów z „Undiny“.*
Pamiętasz?

LANGFRED *przerywając jej, stanowczo.*

Nie — nie chcę! To nie dorównywa temu... *chowa na wpół wyciągnięty manuskrypt z powrotem do kieszeni.*

LYDIA *wstaje i idzie ku niemu.*

Langfredzie!

LANGFRED.

Ty nie wiesz, ilem się nacierpiał!

LYDIA.

I nie pisałeś mi nic o tem? Byłabym przyjechała.

LANGFRED.

Nie chciałem się sam do tego przyznać. I nie zda-
wałem sobie sprawy...

LYDIA.

Podziękuj za to Bogu, żeś do mnie się uciekł. Nie
zawiedziesz się. Wielką, szeroką ciszę stworzę w okół
ciebie, jak gdybyś żył w lesie... w niezmiernie ci-
chym lesie.

LANGFRED *zainteresowany.*

Co przez to rozumiesz?

LYDIA.

Cała sztuka polega na tem, aby umieć być samym —
zdala od całego otoczenia.

LANGFRED.

Naturalnie.

LYDIA.

A ostatnim razem, cały czas traciliśmy na stworzenie samotności.. To było naszym niepokojem. Nie pojmujesz tego?

LANGFRED.

Być może?... Czy wiesz...

LYDIA *przerywając.*

Jedźmy, Langfredzie! Niema innego wyjścia.

Ty i ja, ja i ty — i cisza. Nikt i nic poza nami. Wówczas zobaczysz.

LANGFRED.

Gdyby to się tylko udało! Jestem taki zmarnowany.

LYDIA.

Jedźmy. — O chodźmy do miasta — teraz zaraz!

LANGFRED.

Do miasta?

LYDIA.

Opuszczę cię na chwilę, aby się przebrać. A potem wyjdziemy do miasta i przygotujemy wszystko.

LANGFRED.

Cóż w mieście mamy do roboty?

LYDIA.

Muszę przecież kupić sobie podróżną suknię.

LANGFRED.

Mało masz sukien?

LYDIA.

Do drogi nie mam żadnej.

LANGFRED *śmieje się.*

Oto jedziemy, aby być sami!

LYDIA.

Ach, cóż ty się rozumiesz na sukniach. — Ty! —

LANGFRED.

Sądziś, że nie? Dużo kufrow! Dużo koszów!... Obrzydliwa plaga...

LYDIA.

Lecz w każdym kufrze, jest coś, co się stać może sztuką. Zupełnie tak, jak z twoich zwojów nut.

Odpowiedz mi: na czym zna się malarz?

LANGFRED.

Malarz? Zazwyczaj na niczem.

LYDIA.

Ależ w zakresie swojej sztuki...

LANGFRED.

Ach... myślę, że na rysunku... na barwach...

LYDIA.

A rzeźbiarz?

LANGFRED.

Na formach... liniach.

LYDIA.

A muzyk?

LANGFRED.

Do czegoż to zmierza?

LYDIA *przerywając.*

A muzyk?

LANGFRED.

Trochę na dźwiękach... i...

LYDIA.

Nasz strój wszystko to w sobie mieści. Częstkę nas samych, to znaczy, wówczas, gdy go mamy na sobie. A my same? my same.

LANGFRED *całuje ją.*

Jesteśmy zachwycające. — Idę z tobą.

Stoją w głębi sceny na prawo.

LYDIA.

Rozruszałeś się przecież.

LANGFRED.

Tak sądzisz?

LYDIA.

Mimo to nie jesteś jeszcze takim, jak należy. Wiesz— że to nie łatwo kochać ciebie...

No powiedz?

LANGFRED.

Przyznaję.

LYDIA.

Tylko nie myśl, abym ci chciała przez to pochlebiać...

LANGFRED.

Więc do widzenia. *idzie w głąb sceny, do drzwi.*

LYDIA *szeptem.*

Nie mów nic o tem wujowi.

LANGFRED *śmiejąc się.*

Naturalnie — wujaszek musiał wypłynąć na koniec!

LYDIA *stojąc w drzwiach na prawo.*

Tędy wychodzisz?...

LANGFRED.

A czy jest inna — wolna droga?

LYDIA *wychodzi drzwiami na prawo.*

LANGFRED *idzie za nią.*

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO,

AKT TRZECI.

Mały pokój w tym samym hotelu. Drzwi w głębi. Na prawo od drzwi łóżko zasłonięte firankami. Nieco dalej stoi duży otwarty kufer. Na krześle rozłożony pled. Na pledzie torba podróżna i kapelusz. W głębi pult — obok pudło z nutami. Nuty leżą także na ziemi. Przy kufrze stoi Langfred Rann i układa nuty. Jedne odzrzuca — inne układa w pudle. Po przeciwnej stronie (na lewo), widać tualetę i szafę. Na środku sceny — stół i stoliki. Przy widowni drzwi.

SCENA I.

Słychać pukanie do drzwi na lewo.

LANGFRED.

Proszę.

DR RANN *wchodzi, trzymając niewielkie pudelko w ręku.*
Więc się pakujesz ?

LANGFRED *zajęty.*

To niektóre nuty, które tutaj pozostawiłem. Muszę je kiedy niekiedy przeglądać i ułożyć. *Układa dalej.*

DR RANN

idzie do kufra, potem zagląda do odchyłonej szafy.
Jak widzę wypróżniłeś także i szafę.

LANGFRED.

Przyjechałem dopiero wczoraj wieczór i nie miałem czasu się rozpakować.

DR RANN.

Mam tu coś dla ciebie.

LANGFRED *zwraca się ku niemu.*

DR RANN.

Wiesz, że nie mogliśmy znaleźć pieczątki po twoim ojcu ?

LANGFRED *wesoło.*

Znalazłeś ją ?

DR RANN.

Pękła i ojciec twój dał ją właśnie przed swoją chorobą do naprawy. Rytownik zgubił adres i nie wiedział komu ją ma odesłać. Potem ja coś u niego zamówiłem — i patrz — oto pieczątki! Odnalazła się... Masz ją...

LANGFRED.

Dziękuję ci serdecznie. Nie mogłeś mi nic miłszego przynieść. *Wyjmuje pieczątkę z pudełka i czyta:*

LABOREMUS

Tak.... Laboremus!... Oto hasło!

DR RANN.

Na naszej pieczęcie.

LANGFRED.

Mam nadzieję, że i w naszej krwi.

DR RANN.

Wiesz o tem, że nie jestem tutaj sam? Przyjechałem z młodą dziewczyną...

LANGFRED.

Którą z Londynu przywiołeś?... Ta Amerykanka?

DR RANN.

Nie. Mieszkała wprawdzie w Ameryce, ale jest Norweżką.

LANGFRED.

I mówi po norwesku?

DR RANN.

Naturalnie. Młodziutkie to jeszcze... zaledwie ma siedemnaście lat.

LANGFRED.

A to dobrze, tak mało mam jednak czasu.

DR RANN.

Tak mało masz czasu?

LANGFRED.

Nie w tym znaczeniu! — Lecz — cóż z tą dziewczyną...?

DR RANN.

Tak się złożyło, że opowiedziałem jej treść twojej „Undiny”. Nie masz nic przeciw temu?

LANGFRED.

Ależ nie.

DR RANN.

I wiesz co powiedziała?

LANGFRED.

Cóż takiego ?

DR RANN.

»To mi się wydaje nieco za monotonne«.

LANGFRED.

Ta siedemnastoletnia ? — Zresztą ma rację! Musi być mądra!

DR RANN.

Ogromnie oryginalna. »Wiem czem jest Undina« — rzekła — »mogłabym mu niejedno opowiedzieć o takiej Undinie«.

LANGFRED.

Ona ? — Jakaś legendę zapewne.

DR RANN.

Nie, prawdziwe zdarzenie. I to zmieniłoby do dna cały jego plan — dodała.

LANGFRED.

No — słyszałeś to przecie — i mógłbyś mi opowiedzieć.

DR RANN.

Nie wolałbyś raczej usłyszeć to od niej samej ?

LANGFRED.

Czyż mogę ?

DR RANN.

Naturalnie.

LANGFRED.

Kiedy ? Teraz zaraz ?

DR RANN.

Dlaczegożby nie ? Czy mogłaby tu wejść ?

LANGFRED.

A wypada to ?

DR RANN.

Sądziś, że się złąknie ? Jako Amerykanka i Norweżka w jednej osobie ?

LANGFRED.

W takim razie ja powinienem się bać.

DR RANN *wychodząc.*

To prędzej. Ona jest tutaj.

Idzie do drzwi. Langfred stara się na gwałt uporządkować mieszkanie. Z bocznego pokoju słycać głos Dra Ranna:

Chodźże! Poczem ukazuje się :

BORGNY

w czarnej sukni z koronkowym kołnierzem i mankietami. Wygląd i uczesanie to samo co na portrecie z początkiem II-go aktu.

DR RANN *idzie za nią.*

Pozwolicie, że was przedstawię: Miss Auclair — mój bratanek Langfred Rann.

LANGFRED.

Pani się tak rozgląda... ?

BORGNY.

Sądziłam, że znajdę tutaj fortepian !

LANGFRED.

Czy pani gra ?

BORGNY.

Nie wiele. Ale sądziłam że pan...

LANGFRED.

Jestem tylko w przejeździe...

BORGNY.

Wybiera się pan w dalszą drogę ?

LANGFRED.

Tak. — Lecz nie zaraz.

BORGNY.

Tak cieszyłam się na to, że usłyszę kompozytora grającego.

Ktoś puka do lewych drzwi.

LANGFRED *gniewnie.*

Któż to może być ?

DR RANN.

Zapewne do mnie. Pozwolisz ?

Otwiera drzwi. Wchodzi służący z kartą w ręku.

Dr. Rann czyta kartę.

SŁUŻĄCY.

Cette personne dit, que monsieur l'attend.

DR RANN.

C'est bien. Wybaczcie. *Wychodzi. Służący za nim.*

LANGFRED.

Nie zechce pani usiąść ?

BORGNY.

Dziękuję. *Siadają przy stole naprzeciw siebie.*

LANGFRED.

Pani chciała mi coś opowiedzieć.

BORGNY.

Czy mogę zacząć?

LANGFRED.

Proszę.

BORGNY.

Chciałabym panu opowiedzieć zdarzenie, które zaszło w mojej rodzinie. Pewna kobieta, jedna z najszlachetniejszych jakie żyły, zaniemogła ciężko. Leżała w łóżku albo siedziała w fotelu. I na nic więcej zdobyć się nie mogła. Musiała się także wyrzec grania, które jej było najdroższe na świecie. Ani córki nie mogła mieć przy sobie.

LANGFRED.

Dlaczego córki nie mogła mieć przy sobie.

BORGNY.

Choroba była zakaźną.

LANGFRED.

A...

BORGNY.

Tęsknota za muzyką i za córką pogarszały jej stan. Lekarze orzekli, że powinna słuchać muzyki. Rodzina ta mieszkała na wsi. Byli bardzo bogaci. Więc przez koncertową agenturę szukano jakiejś znakomitej pianistki. Choroba jednak była zaraźliwą, dlatego trwało to długo, zanim się ją zgłosiła. W końcu znalazła się odważna.

LANGFRED.

Zdolna?

BORGNY.

Nadzwyczajnie. Posiadająca wielki rozgłos.

LANGFRED.

To ciekawe. Muzyka jako środek leczniczy. I jakież skutek ?

BORGNY.

Niezwykły. Grała czarująco. W swojej istocie i w grze, miała coś hipnotyzującego. Chora odżyła. Wrócił apetyt, sen, ochota do życia rosła, tak, że lekarze zaczęli mieć nadzieję. Mówiono o tem wszędzie. Rzeczywiście muzyka sprawiła tutaj cuda.

LANGFRED.

Któż może wątpić w uleczalną siłę muzyki ?

BORGNY.

Oprócz chorej znajdował się tam jeszcze ktoś, kto przysłuchiwał się z kąta. Nieśmiały mężczyzna.

LANGFRED.

Mąż chorej ?

BORGNY *potakuje.*

Żyli samotnie we dwoje w swoich dobrach. On pragnął tego, a ona nie sprzeciwiała się temu, mimo, że była żywego usposobienia i spragniona życia.

LANGFRED.

Był samotnikiem ?

BORGNY.

Człowiekiem biernym. Żył swojemi myślami i naturą. I on kochał muzykę. Oczarowała go gra a bardziej jeszcze myśl o wracającym zdrowiu żony. —

Podziwiał artystkę. Wdzięczność jego nie знаła granic. Ona spostrzegła to i umiała wyzyskać.

LANGFRED.

Aby go usidlić ?

BORGNY.

Znała się na tem, on zaś był niedoświadczony i łatwo uległ.

LANGFRED.

Co też pani mówi!

BORGNY.

Nie chciała już leczyć mu żony i pragnęła usunąć ją sobie z drogi, aby zająć jej miejsce.

LANGFRED.

A chora ?

BORGNY.

Chora zrozumiała wszystko. Przenikliwa jej dusza odczuła to od razu.

LANGFRED.

I nic nie powiedziała ?

BORGNY.

Nie byłaby tego nigdy uczyniła. A potem nie mogła już nawet.

LANGFRED.

Jak to ?

BORGNY.

Rywalka wysączała z niej życie kropla za kroplą. Swojami pragnieniami, spojrzeniami, muzyką... Bo i muzykę zwróciła przeciw chorej.

LANGFRED *podnosi się.*

Jak żyję nie zdarzyło mi się...

BORGNY.

. Chora miała zaufanie do jednego z lekarzy — jeszcze z dawniejszych lat. Ale właśnie był nieobecny. Gdy powrócił, nie mogła już mówić. Napisała tylko kilka słów, prosząc, aby wolno jej było umrzeć.

LANGFRED *cicho.*

I umarła.

BORGNY *potakuje.*

LANGFRED.

O! taki brak serca. Takie nadużycie muzyki. *Prze-mierza kilka razy pokój.* Nie powinnaś mi pani była tego opowiadać. Należę do tych, którzy nigdy nie wyzwolą się z pod takich wspomnień.

BORGNY *powstaje.*

Tego panu nawet nie wolno.

LANGFRED *milczy.*

BORGNY.

Otóż masz pan Undinę!

LANGFRED.

To ma być Undina?

BORGNY.

Taka mroczna — taka mętna... taka szalona... Ma barwę jej żywiołu.

LANGFRED.

Taką ma też u mnie. Nie wątpij pani w to! Lecz taka zimna?

BORGNY.

Fala jest zimną.

LANGFRED.

Fala kocha i tęskni ku górze...

BORGNY.

Tak. Lecz to co staje jej na drodze — zabija.

LANGFRED *zapala się.*

A więc musi być żonaty.

BORGNY.

Tak.

LANGFRED.

Ten którego Undina kocha, musi być żonaty. Undina — Undina widzi pewnego poranku kochanków idących we dwoje wzdłuż brzegu? — Tak. — Widzi ich uścisk. Wtedy postanawia zabić. — Natychmiast... Do stu piorunów!

BORGNY.

Wówczas zaczyna pieścić wabić rywalkę...

LANGFRED.

Przyciąga ją do siebie. Walka. Głos ciemny i głos jasny i chóry duchów. Duchy morza i duchy ziemi ponad tem... Co za tony...

BORGNY.

Ale wtedy on musi o niej zapomnieć.

~~BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TGW: WILN: S. KRAKÓWIE
SEKCYJA IV.~~

LANGFRED.

To pewna.

Undina złamała prawa, których nie znała. Przecięła sobie drogę do świata, do którego dążyła. Ona nie umie inaczej.

BORGNU.

Wówczas zapewne zepchnie się ją z powrotem w morze ?

LANGFRED.

Z powrotem w morze. — — — Zarysy olbrzymieją a oba niepołączalne żywioły — *jak gdyby do siebie* — muszą to zaraz opowiedzieć...

BORGNU.

Pan więc z kimś pracuje ?

LANGFRED.

Nie. Tworzę sam. Ale mam kogoś, z kim wszystko omawiam. Znakomitą pianistkę. *Zacina się przy tem słowie.* Jej chcę to opowiedzieć. *Przechodzi szybko na inny temat.* A pani ma dopiero siedemnaście lat ?

BORGNU.

Nie — trochę więcej. Siedemnaście lat i trzy miesiące.

LANGFRED.

Przypuszczałem, że pani nieco starsza.

BORGNU.

Tak chciałabym jeszcze coś powiedzieć.

LANGFRED.

Ależ proszę...

BORGNY.

On — on, który kocha Undinę musi być marzycielem.

LANGFRED.

I ja tak myślałem. Wielbicielem przyrody.

BORGNY.

Poetą — naprzykład muzykiem...

LANGFRED.

Dlaczego?

BORGNY.

Bo takich ludzi łatwiej usidlić.....

LANGFRED.

I pani ma dopiero siedemnaście lat i trzy miesiące?

BORGNY.

I pięć dni.

LANGFRED.

Powinienem się był tego domyślić. Bo siedemnaście lat i trzy miesiące to nieco za mało... Czy pani już niema nic do wypowiedzenia?

BORGNY.

Chyba życzenie, aby tu gdzie pan pracujesz było czyste powietrze. — Do widzenia.

LANGFRED.

Bardzo skromne życzenie.

BORGNY.

Nie może pan więcej wymagać od dziewczyny, która

ma zaledwie siedemnaście lat, trzy miesiące i pięć dni. *Kłania się.*

LANGFRED *równocześnie.*

I pięć dni! — Chciałbym wiedzieć ile jeszcze godzin?

BORGNY.

Pójdę i policzę. Czy mogę potem powrócić.

LANGFRED.

Ależ naturalnie.

BORGNY.

Wtedy mi pan zapewne powie, jak tę zmianę przyjęła pańska — — — towarzyszka. Opowie pan jej to?

LANGFRED.

Jakże pani nawet o to pytać może.... Czy już nic więcej?

BORGNY.

Nie. To wystarczy. *Żegna go.*

LANGFRED *odprowadza ją do drzwi rozpromieniony.*

Do widzenia — nie prawdaż?

SCENA II.

Słychać pukanie do drzwi w głębi sceny.

SŁUŻĄCY HOTELOWY.

Madame Wisby fait demander, si Monsieur peunt l'accompagner en ville pour faire des emplettes.

LANGFRED.

Annoncez moi à Madame Wisby. Dites que j'ai à lui parler.

SŁUŻĄCY.

Madame Wisby est là. *Służący roztwiera odchylone drzwi. Ukazuje się*

LYDIA.

W strojnej sukni spacerowej, ubierając właśnie rękawiczki. Służący oddala się — Lydia wchodzi.

Któż nam znowu bruździ? Dr Rann?

LANGFRED *zamykając drzwi.*

Nie, nie, nie! — Coś zupełnie innego — zupełnie innego. *Wraca od drzwi.* Dotyczy to Undiny. Stała się bardziej żywiolową. Usuwam sentymentalność. Będzie teraz więcej demoniczną — wielką!

LYDIA.

Więc zmieniony temat?

LANGFRED.

Nie — temat dawny, lecz rozszerzony. Ten, którego Undina kocha, którego ma wznieść w górę, jest żonaty.

LYDIA.

Żonaty — ?

LANGFRED.

Poczekaj tylko — stokroć lepiej.. Undina spostrzeżga kochanków idących we dwoje, wzdłuż brzegu —

LYDIA.

Jego i jego żonę — ?

LANGFRED.

Tak. I widzi jak się pieszczą — jak ona go obejmuje — widzi ich idących w dal przytulonych do

siebie — — — — Czy możesz sobie wyobrazić jej wściekłość?

LYDIA.

Ależ to jest...

LANGFRED.

Poczekaj. — Teraz dopiero nadchodzi chwila główna. Undina — Undina, która tęskni ku górze i nie ścierpi oporu — zbliża się oto z całym swym orszakiem — z całym swym zastępem bojowym. A kiedy żona tamtego powraca znowu do brzegu, rozbrzmiewają zewsząd wabiące dźwięki — nęcące śpiewy. Na tych falach pieśni Undina wynosi się w górę. Ten wielki, ciemny głos. — — Ty zdołasz go pojąć — nieprawda? On zwiastuje żywioł — zwiastuje siłę życiową tej kobiecie, która jest słabą i znużoną.

Z nad morza ma nadejść i przynieść jej ukojenie.

»Pójdź« śpiewa chór wabiąco i odurzająco.

»Pójdź, abys była rozkoszą twego męża«!

»W łonie mem znajdziesz uzdrowienie«.

LYDIA.

A potem zabija tę...

LANGFRED.

Rozumiesz to, nieprawdaż? To otwiera nowe widnokreśli. Ona przecie nie wie co czyni. Ona jest Undiną!

W chwili, gdy się to wszystko dzieje — nadchodzi on. Więc naprzód rozbudza się w nim zwątpienie. Potem wstręt i nienawiść. — W końcu przerażenie Undiny! — Ona przecież nie rozumie tego!

I znowu chóry — potężne chóry. —

Teraz rosną. Chór Undiny, który walczy o nią i dźwiga ją..

A potem chór męża — i chór moralnego świata. Ha — ha — jak się gromadzą — jak szturmują. A Undina ze swym światem, wśród błyskawic i grozy z powrotem w morze się wali! — Z powrotem w morze! — — — *szeptem*: Zdaje mi się, że niema czasu do stracenia.

LYDIA.

W jakiż sposób wpadłeś na ten pomysł? — Przecież nie czytałeś tego?

LANGFRED.

Sprawila to opowieść, którą dopiero co słyszałem. Prawdziwe zdarzenie — straszne.

LYDIA.

Opowieść?

LANGFRED.

Opowieść o chorej kobiecie, która tak kochała muzykę — — myślano, że ją muzyka może uleczyć!... — Cudowny pomysł nieprawdaż? Wtedy wezwano sławną pianistkę..... Pianistkę dla chorej. Miała jej codziennie podawać napój uzdrawiający.

I czyniła to z dziwnym skutkiem. Siły chorej wzmagaly się — rosły muzyką, jak kwiaty wyniesione z piwnicy na słońce.

LYDIA.

To wspaniałe...

LANGFRED.

Wspaniałe? — mówisz — wspaniałe? — Czy wiesz co uczyniła?

LYDIA.

Pianistka?

LANGFRED.

Zabła ją.

Pomyśl — módz muzyką swoją uleczyć, a mimo to zabić... Nadużyła swojej potęgi....

Najpierw usidliła mężczyznę a potem zamordowała tę chorą, bezsilnie leżącą — tysiącem tajemnych sposobów...

LYDIA.

Kto — kto ci to opowiadał? Dr. Rann?

LANGFRED.

Stryj?

Nie mówił nic o tem — ani słówkiem. Doprawdy, ten stryj to przechodzi już w manię.

Wyobraź sobie teraz instrumentację tej całej idei — tego nowego białego dźwięku.

Bezsilna wzywa pomocy! O ta biała skarga niewinnej i ten chłód żywiołu, który ją pochłania — ten ciemny głos.

LYDIA.

Ależ to nieprawdopodobne!

LANGFRED.

O czem myślisz? — o czem mówisz?

LYDIA.

O tej — o tej, którą miano zabić.

LANGFRED.

O chorej... Jak ci to na myśl przyszło? Jakżeż inaczej stać się miało?

LYDIA.

Cóż ja mogę wiedzieć... A ty nie rozumiesz, że zdrwiono z ciebie?

LANGFRED.

Komużby na tem zależało, do dyabła?

LYDIA.

Tej wycieńczonej kobiecie, którą ci chcą podsunąć do twojej opery! Co ona ma tu robić? W tym świecie żywiołu i siły...

Mówisz o »białym« tonie! To będzie szara, spopiełała biel... Księżyc — księżyc —!

LANGFRED.

Więc nie jesteś po stronie chorej?...

LYDIA.

...Kiedy się rozchodzi o mężczyznę?

Po jednej stronie kobieta nie zdolna żyć ani umrzeć — po drugiej zdrowa — silna! I ty chcesz, bym stanęła po stronie chorej?

LANGFRED.

Ależ Lydio!

LYDIA.

Chcesz mnie zmusić do tego, bym współczuła z tą, która nie była mu żoną i tyle lat nią być nie mogła...

LANGFRED.

Zkąd wiesz o tem!...

LYDIA.

Sam to powiedziałeś.

LANGFRED.

Ja?

BIBLIOTEKA
URZĘDNIK: TOW. WZAJ. UR. w KRAKOWIE
SEKCJA IV.

LYDIA.

...Lub czułam to, gdy mówiłeś... to się rozumie samo przez się...

LANGFRED.

Lecz zapominasz o jednym. Ona — ta druga — pianistka — przybyła, aby uzdrawiać — swoją muzyką, biedną chorą uzdrawiać...

LYDIA.

W nim tymczasem rozplomienia się żądza ku niej... To takie zrozumiałe...

LANGFRED *stara się widocznie z trudem zapanować nad sobą.*

Lecz jeżeli ona to zauważy?

LYDIA.

Więc cóż? Nie wiem, co się stało, lecz sądzę, że wzięła to, co jej się prawnie należało...

LANGFRED.

Prawnie? Czy myślisz o prawie drapieżcy?

LYDIA.

Czyż nie możemy o rzeczy, która ani mnie, ani ciebie nie dotyczy, mówić — — ?

LANGFRED.

Mówić spokojnie? Jeśli możesz, proszę!

Pausa.

LYDIA *zwolna.*

Kochasz tylko szczęśliwych Langfredzie! — ko-

chasz zrównoważonych, którzy umieją się do wszystkiego dostosować.

LANGFRED.

Tak — ! Undina była moją pierwszą miłością, bo była zrównoważoną!

LYDIA.

Nie — tegobym nie powiedziała.

LANGFRED.

I ja sądzę, że tego twierdzić nie można — — — —
Ale nie o tem chcieliśmy mówić, tylko o operze. Czy jesteś przeciwna zmianie.

LYDIA.

Przeciwna — ? To za mało! Nienawidzę jej — — —
tego sentymentalnego śmiecia!

LANGFRED.

Sentymentalnego ?

LYDIA.

Będzie to przecież walka między miłością a moralnością...! Jakbyśmy tego już dosyć nie mieli.

LANGFRED.

...Nie jestem filozofem.

LYDIA.

Ani ja — !

LANGFRED.

Ale zdaje mi się, że Undina uderza w to, co człowiek wywalczył. Gdyby mogła to pojąć, wtedy miałaby duszę....

LYDIA.

Cóż ma pojąć?

LANGFRED.

Ze człowiek żyje wedle wyższych praw. Ona zaś te prawa obraża i dlatego musi być w dół zepchnięta! Czyż nie słyszysz tego szалу morskich wirów, pragnących je zdruzgotać?

A potem chóry przeciwne — odpowiedzi z wysoka jak promienie — jak zwycięzki odblask zbroic! — — I gromy!

LYDIA.

To wszystko jest dla mnie za wzniosłe. Rozumiałam tylko tę nieukojoną tęsknicę Undiny — jej ból istnienia i tęsknotę ku niedosiężonym wyżynom — dążenie do wyższej formy życia — i wiarę, że ją osiągnie, zyskawszy duszę człowieka przez którego zdobyć może współudział w życiu. *Wzrusza się.*

LANGFRED.

To pozostanie. — — —

LYDIA.

— — — By zostało zdradzonem i odepchniętem napowrót tam, z kąd fala się wyrwać pragnęła.

LANGFRED.

Bo chciała to zdobyć zbrodnią! Znieważyła wyższy porządek świata, w który wejść chciała. A to się mści.
— Oto nowy moment, który dodam.

LYDIA.

Zbrodnią? Nie widzę zbrodni w postępku Undiny. Baśń o Undinie, to ta wielka tęsknota przyrody —

ogromna miłość ku temu co jest ponad nią — co wyzwala za jakąkolwiek cenę.

LANGFRED.

Odbicie nieba w morzu! Sen... Sen nie wyzwala nikogo.

LYDIA.

Tylko tego, któremu naprzeciw wyjdzie sen równie wielki. Miłość tak ogromna, że największego grzesznika w ramiona bierze i szepce: — Obmyję cię ze wszystkich grzechów. — Oczy moje to sprawią. Bo tak są pełne dobroci dla ciebie. W piersi mojej mam napój dla ciebie. — Wszystko co ci dotychczas ból sprawiało, zniknie.

Niech nic nie powstrzymuje rąk moich, jeśli się wyciągają do ciebie.

Do aniołów wznieść ciebie pragnę. A kocham cię tak, że to potrafię. — —

Gdybym tego sprawić nie zdołała — gdybyśmy się do nieba dostać nie mogli, to skonamy karą śmierci... — Ty w moich ramionach!...

I wtedy nam nie wzbronią!

LANGFRED.

Czytałem to gdzieś...

LYDIA.

To jest ta wielka miłość. Tę powinieneś stworzyć. Zeszliśmy się w tej myśli. *Ze zwątpieniem*. Dlaczego się tego nie trzymać Langfredzie!

LANGFRED.

Dla mnie ta baśń — rozprysła się. W tysiące szczątków!

LYDIA.

Dlaczego ?

LANGFRED.

Ta niespokojna powierzchnia morza — ta ślepa, naga siła żywiołu. Undina, która nieba pragnie! — Ale w rzeczywistości jest to daremne dążenie. Wszystko staje temu w poprzek, wszystko co człowiek dotychczas zdobył, co dotąd czuje i wie.

LYDIA *boleśnie.*

Braknie ci sił ?

LANGFRED.

Każdemu braknie. Przepaść jest za wielka. Nie wystarczy jedna zmiana. — Nie! Sto, tysiąc lat potrzeba na to, nim ona nieba dosięże. To nie da się obejść... Nasza współczesna wyobraźnia nie obejmuje już tego.

LYDIA *wyczerpana.*

Więc zaniechałeś »Undiny« ?

LANGFRED.

To nie była »Undina«. »Undina« jest ta, która bez litości zabija, byle iść naprzód! Tu jest przepaść!

LYDIA *jak wyżej.*

Więc nie chcesz — nie chcesz ?

LANGFRED.

Spojrz na życie. Wszelka poezja jest tylko przedłużeniem lub skróceniem życia. Nie wymyślimy już nic innego.

LYDIA *wzburzona.*

Czy życie nie mieści w sobie tysięcy istot, które

dopuszczają się gorszych występków... by dźwignąć się w górę?.. Langfredzie — Langfredzie!

LANGFRED.

Ale nie dźwigną się!

LYDIA.

I śmiesz mi to powiedzieć?

LANGFRED.

Nie im do nieba! Nie tam, gdzie my niebo widzimy.

LYDIA.

Czyż ten histeryczny szkielet, wyciągający kości-
ste ramiona po to bujne życie — należy także do
nieba? On, który tchnie swój zatruty jadem oddech
w istnienie? I nie chce go popuścić — Ta suchotni-
cza lubieżność należy także do nieba?

Czyż siła żywiołu i życia ma być przezeń wygnaną?
Życie przez śmierć?

Och — nienawidzę ją! I Bóg sam jeden widzi, że
i ciebie mogę znienawidzić, gdy wstępujesz na takie
bezdroża... oblepiony szlamem sentymentalizmu!

To jest zdrada!

Nie patrz tak na mnie! Mogłabym — mogłabym...

LANGFRED *pozostaje nienaruszony.*

LYDIA.

Czy jestem taką... myślisz to o mnie?

LANGFRED *szeptem.*

Tak.

LYDIA.

Nie — nie jestem taką Langfredzie! To jest tylko moja rozpacz! Nie możesz tego zrozumieć?! W moich słowach musiałeś odczuć jak drogi był mi nasz sen!

I co byłoby się z niego stało, gdyby nam pozwolono razem pracować — nie — nie razem pracować — gdybym tylko mogła być przy tem!

Wybacz te słowa. Ja tylko tego nie chcę tracić — tej wielkiej miłości Undiny, która z wieczności pochodzi i wieczność daje.

Dlaczegoż ma być jej wiara odjęta — Langfredzie? Ty musisz ją ratować, także i dla mnie.

LANGFRED.

Mamy więc o tem mówić?

LYDIA.

Tak.

LANGFRED.

Bo dotychczas nie mówiliśmy o sobie — nie prawdziż?

LYDIA.

Nie. — Przebacz!

LANGFRED.

Siadajmy!

LYDIA *chce usiąść.*

LANGFRED *wskazując.*

Lepiej tutaj!

LYDIA.

Dobrze: Wszędzie gdzie chcesz.

Siada tam gdzie dawniej siedział Langfred rozmawiając z Borgny, a Langfred zajmuje krzesło Borgny.

LANGFRED.

Teraz dopiero widzę wszystko jasno przed sobą. Posłuchaj: — Undina nie szuka niczego innego, jak tylko spokoju dla swojej tęsknoty — Nieprawdaż?

LYDIA.

Tak, tak.

LANGFRED.

Lecz to jest pewna, że wzięwszy ten spokój, sama żadnego dać nie może.

LYDIA.

A miłość?!

LANGFRED.

To wszystko jedno. Bo on i tak nie pokocha takiej, która mu serce oziębia.

LYDIA.

Jest więc zimną?

LANGFRED.

Zdaje mi się, że niema tego ciepła, które wpromieniło się stopniowo w życie ludzkie. Tego ciepła nie osiągnie już nigdy.

On i ona należą do dwóch różnych światów. Tyśiące lat ich odgradza.

LYDIA.

Nie czuje tak jak on? albo — — — co chcesz przez to powiedzieć?

LANGFRED.

Nie umie tak czuć, jak on...

LYDIA.

Jeśli tylko w drobnostkach — to cóż to szkodzi ?

LANGFRED.

Przedstaw więc sobie mężczyznę, który ma jakiś cel przed sobą i kogoś koło siebie, stojącego zawsze pomiędzy nim a tem dążeniem.

LYDIA.

Dlaczegoż ma stawać ?

LANGFRED.

Wyobraźnia nasza jest już taką. Wszystko w niej kielkuje. O wiele prędzej — o wiele prędzej, zanim nasz mózg do tego się zbliży, aby szukać, porządkować — formować. Wyobraźnia musi być — musi być...

LYDIA *łęklinwie.*

Czem — czem ?

LANGFRED.

Nic jej na drodze nie może stanąć i nic z drogi zawrócić. Musi mieć czyste powietrze — czyste!

LYDIA.

Mówiliśmy o uczuciu.

LANGFRED *jak poprzednio.*

Spokój musi mieć! a spokoju niema tam, gdzie dwoje ludzi odmiennie czuje..

Podnosi się.

Ten groźny, potężny chór duchów płynący z góry, przewyższy wszystko co dotychczas stworzyłem. To będzie największe dzieło moje...

LYDIA *wstaje.*

Ha — ha —sądzisz, że największe?

Zohydzenie wspaniałego tematu antycznego? Oszpe-
cenie dostojnego marmurowego kolosu marną dłu-
biną modernistyczną? Tego kolosu wyłowionego z mo-
rza — gdzie tysiące lat w piasku i w wodzie prze-
leżał...

Nie dojdiesz nigdy tą drogą do sławy...

LANGFRED.

I tak nie dojdę, sprzeniewierzając się uczuciom
moim.

LYDIA *z wściekłością.*

Ten chrześcijaństwo....!

— Jest tu kto?

— Ktoś podsłuchuje przy drzwiach — — —!

Idzie szybko na lewo i cofa się z przerażającym okrzykiem.

BORGNUY *wchodzi.*

LYDIA.

Znowu ona! zwraca się wprost do Borgny. Ktoś
ty?

BORGNUY.

Jestem córką mojej matki.

LANGFRED.

Co?

LYDIA

Opadając z sił, odwraca się i wychodzi z wolna krok za krokiem. W drzwiach rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie Langfredowi i znika.

DR RANN

który wszedł właśnie i położył rękę na ramionach Langfreda.

Niech się to już raz skończy!

LANGFRED.

Ten krzyk... ten rozdzierający duszę krzyk..?

DR RANN.

Będzie cię ścigał... aż się w ton przerodzi.

LANGFRED

w największym wzburzeniu chce coś odpowiedzieć — spogląda na Borgny i milczy.

BORGNY *zmieszana.*

Czy mogę teraz iść do ojca?

DR RANN.

Idź. Ja tutaj zostanę.

Po odejściu Borgny rzuca się Langfred w objęcia stryja.

Teraz już będziesz mógł pracować!

LANGFRED.

Teraz? — o długo, długo jeszcze nie!

DR RANN.

No nie. Ale później tem lepiej.

Zastona.

KONIEC AKTU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

~~LIBRARY~~
URZĘDNIK WILKÓW
SERIA IV.